



SABINA RACIAŹKÓWNA

*CHIŃSKA
AKWARELA*

WARSZAWA - 1930

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

CHIŃSKA AKWARELA

TEJŹE AUTORKI:

ZŁOTA KULA, baśń dramatyczna, 1925.

SPADAJĄCE GWIAZDY, poezje, 1927.

SABINA RACIAŹKÓWNA

*CHIŃSKA
AKWARELA*

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-930 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA - 1930

NAKLADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

<http://rcin.org.pl>



**Zakłady Drukarskie
F. Wyżyński i S-ka
Warszawa, Warecka 15**

2824
<http://rcin.org.pl>

APPENDIX

No. 1. The first of the series of letters to the mother, written in 1845.

No. 2. The second of the series of letters to the mother, written in 1846.

No. 3. The third of the series of letters to the mother, written in 1847.

No. 4. The fourth of the series of letters to the mother, written in 1848.

DROGIEJ MATCE

WYDZIAŁ FIZYKI
KATEDRA FIZYKI
UL. GOSPODARSTWA 25
01-435 WARSZAWA

NOTAM (13)1990

A N D A N T E

Są gdzieś bielutkie domki z powieści Björnstjerna
Ciche i wierne.

Śnią się w nocy tulaczom, słodkie jak muzyka,
Ręka ich sama dotyka.

Są gdzieś bielutkie domki i drzewka akacji
Przy małej stacji.

W daleką... długą podróż odjadę pociągiem
I... tam wysiądę.

R O Z B I T K I

Nie wiemy, jak stanąć na ziemi
(Tak nam, rozbitkom, się dzieje),
By poczuć w zdumieniu radosnem,
że się ta ziemia — nie chwieje!

My nie mamy tutaj nikogo,
Zgubiliśmy kierunek dróg,
Sam piołun wyrasta pod nogą,
Chwast klujący, natrętny glóg.

W rękach — płótno zdartego żagla,
Wkoło cisza, puszysty mrok —
Nikt nie strzeże, nikt nie przynagla:
Teraz wprawo, nalewo, wbok!

Uderzamy głową o ściany,
Głos tłumiony słyhać — jak jęk!
Wyciągamy ręce przed siebie:
Skąd dolata rozbity dźwięk?!

KOMUNIKAT Z OSŁO

.....więc okręty norweskie do portów wracają.
Obszary pod biegunem już się nie nadają
do dalszych poszukiwań: zima się przybliża.....

Do nas, do mnie, do ciebie zima się przybliża.
Do matki Amundsena — Wysoki Cień Krzyża.

Odmawiają codziennie pacierz przed wieczorem
Przymykając powieki zmęczone i chore.

W ich twarzach wszystko — zda się — ku dołowi ciąży:
Linja warg z linją oczu wraz ku ziemi dąży;

Zmarszczki ust, uśmiechniętych tak nikle i blade,
(Uśmiech tych, którzy wkrótce daleko odjadą).

Na siwe patrzysz włosy, dłoń ciśniesz do piersi
Samotności się uczysz i uczysz się śmierci.

I naraz — tak cudownie! — wieczoru pewnego
Odnajdujesz szacunek dla siebie samego.

Na koldrze mam noże
Ostrzami sterczące —
Poruszę się — to je ręką osłabłą
Potrączę.

Zawołam — głos mój własny
Popchnie mnie do zguby:
Nie wiem kto wyjdzie do mnie
Z za kotary grubej.

CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ

On wie dobrze, że dzień ten jest już bardzo bliski,
Że opór najzaciętszy nie zda mu się na nic:
Chyłkiem — między drzewami — suchem ospiskiem,
Za czyjąś obcą wolą pójdzie, jak skazaniec.

Wieczór będzie, jak wtedy, wilgotny, niepewny,
Kiedy z nocnej spelunki wyjdzie pokryjomu.
Najpierw włóczyć się będzie ponury i gniewny,
Aż stanie jak zakłęty w bramie tego domu.

Pamięta sienć tę dobrze, co krwi posmak chłwa,
I wieczór ten pamięta od zbrodni nabrzękły —
Stanie tam, w ziemię wbity, cofnąć się nie zdoła,
O poręcz próchniejącą oprze się wylękły.

Martwym i tępym wzrokiem korytarz oślini,
Brudne okna uderzą w niego, jak nahają!
Strachem zagnęła objęty, głowę wdół pochyli
I serce w piersiach stanie: te okna go znają!

Te okna mają w sobie chwyt nieznannej dłoni,
Zwinnej, żelaznej ręki, co z ciemności zmierza,
Nim zacznie tłum wymijać, ulicami gonić,
Zadrży pod skurczem ręki, co sięga kołnierza!

Te okna go wyszczują: blask księżycy wpada,
Dwa promienie... korytarz już blaskiem zalany!
A człowiek, który zabił, — na schodach przysiada
Patrzy: księżyc wygląda, jak talerz miedziany.

Na sam strych się posuwa, leniwie, bez strachu,
Znów siada i u butów rozwiązuje supły:
— Wtedy... księżyc był nisko... złamał się na dachu,
A teraz jest ogromny: pełny i wypukły. —

A reszta jest, jak wtedy... z ust sączy się ślina,
Krew czyjaś mdlą i lepką czuje pod zębami,
Rankiem... spodnie podciąga i rzemień zapina
I ciężkimi... ciężkimi zawraca krokami.

PODRÓŻ ULUBIONA

„Szczęśliwi, którzy kochają Wisłę”.

St. Żeromski.

Zawiezie mię łódź, albo tratwa:

Dla jednego tylko spojrzenia,

Dla jednego tylko chwycenia

Szczególnego refleksu światła.

MATKA JOANNY I MIŁOŚĆ

I.

Codzień po ciężkiej robocie, kiedy się księżyc
[odmienia,
Czeka zapachu kwiatów, których nie zna nawet
[z imienia.

Wie tylko matka Joanny — poznaje czuciem ro-
[ślinem,
że to te leśne tak pachną, ale nie żadne inne.

Siada na progu swej chaty, ręce zaplata u kolan:
— „Boże na niebie wysokiem — niech dzieje się
[Twoja wola!“—

II.

Codzień do okien Joanny, gdy kwiaty już pachną
[w lesie,
Ponocny stuka kochanek: „Dziewczyno, odezwijże
[się!“

Nie zna go nawet z imienia, wie tylko czuciem
[roślinnem,
że w jego rękach zapłaczę, ale nie w żadnych
[innych.

Bezbrzeżnie smutna Joanna zaplata ręce u kolan:
— „Boże na niebie wysokim — niech dzieje się
[Twoja wola!“ —

POKÓJ ZABITYM W GÓRACH

Kiedy srebrnym osnute popiołem
Góry śnieżną zepchnęły lawinę,
Czyjeś serce jęknęło w dolinie
- I skurcz przeczuc na usta padł sine.

Ręce Twoje — niby skrzydeł dwoje!
Wgórze — gwiazdy i gwiazdy się tłoczą!...
W śmierci Twojej — świętego tak wiele
Pokój zamkniętym oczom.

C Z U W A N I E

Od ściany do ściany i od ściany do ściany
Gruby, włochaty welon, sadzą nakrapiany,
Gruby, włochaty welon, postrzępiony w grzywy
Ni to mgła, ni to płachta, ni to mur prawdziwy —
Cicho... cicho... cicho...

Cicho... cicho... welonu rozdzierać nie trzeba
O świcie zobaczymy srebrny kolor nieba
Cicho... cicho... welonu rozdzierać nie warto
Uderzył zegar trzecią, uderzy i czwartą
Cicho...

Od ściany do ściany i od ściany do ściany
Gruby, włochaty welon, sadzą nakrapiany,
Noc się nigdy nie skończy, zatrute ma szpony...
Kolor nieba o świcie jest szaro - zielony
Cicho...

Mgły rozlażą się wszędzie... na mgłach się ułożę
Gwiazd niema i nie będzie... dalekie jest morze
Twoje słowa są obce, drażniące i cudze
Noc się nigdy nie skończy, a ja się nie zbudzę...
Cicho...

W ODNAJĘTYM POKOJU

Pokój obszerny i obcy
Meble zwyczajne i nieme
Nieumiejące oddychać...

(Chłodno... ponuro... i ciemno

Powiedz mi:

Jesteś tu ze mną?)

Lampa na sztywnym stoliku,
Pękniętym kloszem błyszcząca,
Daleka i obojętna.
Od lampy mgła spływa mętna,
Wznosi się ciężko, powoli
Ponad stolika krawędzie — — —
Staje się coraz jaśniejsza,
Ale już blaskiem nie będzie — — —

(Chłodno... ponuro... i ciemno

Powiedz mi:

Jesteś tu ze mną?)

O... zabierzcie, zabierzcie ze ściany
Obcy portret nieboszczyka w czerni!
Obleciały mię strachy dziecięce,
Weźcie portret!
Nic więcej... nic więcej!

SIOSTRA JUANITA

Zapalała świeczki na choince
Pośród białej sierocej sali,
Zdziwionemi kwiatami oczu
Patrzała z pachnącej dali —

Bardzo blisko stanęła przy mnie,
Dobry Bóg mi radości nie skąpił —
— Siostrze, Siostrze, jak Siostrze na imię? —
I czekałam, co teraz nastąpi.

— J u a n i t a — powiało fjołkami
Pośród białej sierocej sali,
A lęśliwe najczystsze spojrzenie
Patrzało z pachnącej dali.

Juanito, Siostrze Juanito!
Na klęczkach Cię proszę, gorąco:
Przyśnij mi się Jasna Juanito
W noc samotną, fjołkami pachnącą.

Przyjdiesz — prawda — przytulisz, obejmiesz
Z serca w oczy tak słodko popatrzysz,
Ze pomyślę: To Miłość nademną,
Sama Miłość składa ręce nakrzyż.

PER L'AMORE DI DIO!

Odgadł wszystko — gdy spojrział w twarz bladą,
[zuchwałą.

Stary rybak zrozumiał. Zawrócił pomału.

— Per l' amore di Dio! — szepnął tylko — Signora! —

— — — — —

Morze zwolna ciemniało i lśniło jak mora.

NIEBIESKI DZIEŃ W ZAKOPANEM

Biciem własnego serca srebrna cisza dzwoni,
Niesie mi nowe życie w palcach wielkich dłoni!

Myśli płyną zwysoka, z mgłami niebieskimi,
I giną razem z niemi, zanim dotkną ziemi...

A przecież, nim z oparów czysty dzień się zbudzi,
Już mieszka we mnie radość! Szukam sercem ludzi!

Wietrze, bracie kochany! Słońca złote plamy!
Jak daleko za nami krzyż okiennej ramy,
A na niej zawieszzone wkrąg moje tęsknoty...

Na szarym końcu myśli: krążek lampy złoty,
Cień biurka... ręka moja, pod głową złożona.
Tam płonąłam jak świeca... i — nikłam jak ona.



LORD BYRON I JEGO BOBBY

Bobby była dziewczyną, za chłopca przebraną,
Zęby miała jak wilczę, a oczy stalowe,
Koń — szedł do niej, jak dziecko na matki wołanie
I na ciepłych kolanach kładł rozumną głowę.

Jerzy myślał: do kogo Bobby jest podobna?
Czy Bobby jest dziewczyną, tak z ciała i kości??
Nie... Prędzej była sarną, co przez lat szesnaście
W wilgotnych gąszczach boru kryła się w ciemności.

Kochał Bobby. I nigdy nie wiedział dlaczego:
Gryzła, kiedy ją pieścił, i krzyczała: Nie chcę!
A w stajni — przecież widział — jak czule karego
Ponsowemi wargami dotyka i lechce.

— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

**W Londynie były ladies. Od Bobby piękniejsze.
Pod chmurnem niebem miłość zakwitła bez słońca.
Ale sarna, zaszyta w knieje najciemniejsze,
Pozostała jedyna, jedyna do końca.**

P R O Ś B A

Błękitnieją ci oczy, a policzki ci bledną
Daj mi ręce — i chwilę stań przy oknie tu ze mną:

Wiem, że czuć nic już nie chcesz i niczego nie czekasz
Słuchaj — dłoń ci położę na zmęczonych powiekach.

Tutaj szare jest niebo, ciemne mury kamienic,
To nie twoja w tem wina: tutaj nic się nie zmieni.

Na południu
Są wyspy — kwiaty w słońcu rozsiane.
Tam poranki są złote, a wieczory różane.

Tam storczyki
Wilgotne — z bronzowemi plamkami
Chorych piersi twych dotkną otwartemi pyszczkami.

Będzie miło, cudownie:
Między palm gałęziami
Biały hamak zawieszę
Z niebieskimi frenzlami.

Szepnę wtedy — gdy będzie najciszej, najjaśniej —
O maleńka, kochana
Zaśnij.

A U R E L J A

Przejrzysta lekka meduza
Czulkami jak frendzlą trzęsie,
Na płytkim piasku pod wodą
Łzy szczęścia grają na rzęsie.

Ośmiokwiat płynnej radości,
Z różowych pasemek delja —
Może to ona — tak ładnie —
Nazywa się Aurelja?

Niewolno wyjąć jej z morza,
I kłaść od wody zdaleka:
Na suchym piasku meduza
Staje się biedna, kaleka!

Fjolkowy krzyżyk na tarczy
Prostuje, jak tylko umie,
I zniechęcona zasypia
Przy morza śpiwnym poszumie.

CHINEŹSKA KWARTALNIK
Skurczona w gródkę szarawą,
Żalozna, mdła galareta,
Leży bezradna i smutna,
Jak opuszczona kobieta.

CHIŃSKA AKWARELA

Czcigodny Tsang niesiony w palankinie.
W Hong-Kong?
W Szanghaju?
W Kochinchinie?

W herbaciarni
Przyémione lśnią światełka —
Mimoza-Yen ma oczka jak źródelka.

Mimoza-Yen nad wszystko jest cudniejsza
W Hong-Kong?
W Szanghaju mała gejsza?

Patrz — Yen — mandaryn w palankinie!
Czcigodny Tsang w poduszkach miękkich ginie!

Herbaty nalej — Yen — w cieniutkie czary!
Dostojny gość — potężny jest mandaryn!

Pamiętaj — Yen — twarzyczki nie zasłaniać,
Pamiętaj — Yen — niczego mu nie wzbraniać.

W tańcu się giąć
I śpiewać mu piosenki

— — — — —
— — — — —

(— — — — — gdy przyjdzie noc,
noc niepojętej męki — — — — —)

MINJATURA MOJEJ MATKI

Któż to Cię, piętnastoletnią,
Ubrał w brokaty i w morę?
Wyglądasz dziwnie strwożona
Pod tym balowym splendorem.

Jak dużej, dorosłej pani
Dano Ci wachlarz do ręki,
A Tybyś pewnie wołała
Naiwne śpiewać piosenki.

Zdjęłabym z Ciebie te suknie
W dalekich Twoich Olkuskach,
Ażebyś mogła swobodnie
Biegać w ogrodzie po drózkach.

Zdjęłabym z Ciebie te suknie,
Brokaty cne i gniojące,
Tylkobym Ci zostawiła
Róże, na piersiach więdnące.

LIST OBLAKA
I kryzę z białych koronek
U szyi, bo jest najłżejsza,
Dziewczynko piętnastoletnia,
Byłabyś jeszcze śliczniejsza!

LIST OBŁĄKANEJ DO BOGA

O Boże, Boże mój miły,
Dłużej milczeć nie mam już siły,
Widzisz te ręce w ciemności?!
Te ręce: skóra i kości,
Czekają tylko sygnału
I suną do mnie pomału.

Wężową skórą osnute
Strząsają krople zatrute
Do moich szklanek i słoï.
W głębi, u czarnych podwoi,
Cień jakiś na straży stoi.

Dnie całe i całe noce
Serce od strachu dygoce,
Nie zmusi mię żadna siła,
Żebym się czego napiła!
Niechaj to jadło przepadnie
Z kroplą trucizny na dzień!

Tu siostry w czepcach liljowych
W białych pantoflach zamszowych
Umarłym zanoszą wieńce.

To ich, to ich są te ręce!!

Wężową skórą osnute
Strząsają krople zatrute
Do moich szklanek i słoï.
W głębi, u czarnych podwoi,
Cień jakiś na straży stoi.

Gdzież jesteś, gdzie jesteś, Boże?!
Ten cień to może... to może
Ty!?

MODLIŁEM SIĘ

I.

Kiedy Ciebie poznałem — pamiętam —
Zgiąłem kolana bezwiednie
I jak o sprawy powszednie
Prosiłem poprostu tak:

— Madonno Święta,
Podnoszę do Ciebie ręce:
Daj mi jej serce dziewczęce
O daj!

W Święto Zielone, Majowe
Niczyja, nieznana nikomu,
Do mego przybyłaś domu,
W Święto Zielone, Majowe!

II.

Zgiąłem kolana bezwiednie
I jak o sprawy powszednie
Prosiłem poprostu tak:

— Różo Mistyczna,

Patrz: Ona wątła i śliczna,
Otul ją całą porankiem
Jak pszenным, pachnącym wiankiem,
A wszystkie ziarna goryczne
Dla mnie zachować racz!

III.

Kiedys odeszła — odemnie —
(Czemu, dziecino kochana,)
Zgiąłem kolana bezwiednie
I jak o sprawy powszednie
Prosiłem poprostu tak:

— Gwiazdo Poranna,
O, ześlij mi świt taki mgławcy,
Co z męki życia wyzwoli,
I niech się ona nie dowie,
Jak boli serce... jak boli!...

(Przekł. z Giuseppe Brancolini'ego).

S E N

Malutka i niziutka izdebka,
Pod pałapem lipowa kolebka,
W kolebeczce kędzierzawa głowa
W puch kwiciastej poduchy się chowa.

A poducha jest prawdziwa lniana,
W czerwoniutkie wisienki wytkana,
W żółte kłosy i w łąkowe kwiatki.

— Jakie ono podobne do matki! —
Ktoś się schyla, ktoś wyraźnie woła —
I przewala się słońce dokoła —

W kolebeczce kędzierzawa głowa
W puch kwiciastej poduchy się chowa,
Przymykają się malutkie drzwiczki —

Gdy się budzę, mam mokre policzki,
I szpileczki pod powiekami,
I uśmiechy splecione ze łzami,
I ręce na sercu splecione,
I wyznanie na ustach
Szalone.

* * *

Daj mi popatrzeć w twoje oczy
W twoje oczy, czarne djamenty,
Ja nie znam innych klejnotów,
Ja nie znam innej tęsknoty.

Daj mi popieścić twoje loki,
Słonko iskierki w nich mota,
I złącą się, złącą kędziory...
Ja nie mam innego złota...

Dziecino moja jedyna,
Pójdź, coś ci szepnę na uszko:
Ja nie mam innego serca
Tylko twoje małe serduszko.

Januszkowi

C H O R E D Z I E C K O

Za granatową jaskółką
Smutnemi wodzi oczami,
Już niema jej, odleciała
Więc senne oczy przymyka.

„Mały lord“ się zesunął na ziemię
Dziecko chore jest... dziecko drzemie
Nieciekawe losów Cedryka.

P E J Z A Ź

Poławiacze łososi na fjordzie norweskim,
W kapeluszach z rondami i w bluzach niebieskich.

Uwiązane na linach, wślad za dużym statkiem,
Małe czółna się wloką, jak dziatwa za matką.

U steru — człowiek z fajką ogląda pogodę:
Różowe światło zgóry opada na wodę.

Rankiem — przybiją w Oslo, dawniejszej Chrystjanji.

— — — — —
Ponad wszystkim mgła bława i — Cień Melancholji.

ALEJA RÓŻ JESIENIĄ

Ostatnie smugi światła uniosły się wyżej,
By wróciły na krzaki — już niema nadziei.
Cienie chudych jarzębin pokładły się krzyżem.
Nic już tutaj nie kwitnie — prócz nazwy alei.

A L A T E M

Pocztówki... pocztówki... ukłony
Z Abbazji... z Vevey... z Lizbony...

Palmy... bulwary... ulice...
Mosty... wystawy... stolice...

Szarotki pod wiecznym śniegiem
Drobniutkim wyszyte ściegiem...

O, jak tęskni, jak szumi głowa!
Rozsypują się po niej słowa,
Niby kropki po wielkiej mapie:
Palermo... Wenecja... Capri...

Capri białe... kuszące... płocze...
Choć przytrzymać... choć przytrzymać je trochę!

NIEUDANY ZACHÓD SŁOŃCA

Chmury — niby ogromne zaciśnięte pięści
Przez wilgoć pną się w górę, lecz im się nie szczęści:

Słońce prędko się za nie kryje do połowy —
Na wodzie jedna łódka i żagiel perłowy.

Na bardzo nudnej lekcji, pochylając twarze,
Robi się takie właśnie na książkach pejzaże.

Łąd się równo od wody linijką oddziela,
Tak powstaje panińska pierwsza akwarela.

The first part of the book is devoted to the history of the country from the earliest times to the present day. It is a most interesting and valuable work, and one which every student of history should read. The author has done his duty in a most able and useful manner. The second part of the book is devoted to the history of the people, and is also most interesting and valuable. It is a most complete and accurate work, and one which every student of history should read.

TOBIE

TY JESTEŚ JAK OBRAZ

...bo gdy za blisko stanę przy obrazie
ani barwy, ani ciepła nie czuję:
ani to są rozgwiezdy, ani to są motyle
plama za plamą kółkuje...

ani to są rozgwiezdy, ani to są motyle
ani ptaki, ni mgły rozwleczone
ni to chleb, ni to wino,
ni to skrzydła rozwiane
Tylko plamy
czerwone... zielone...

A ty jesteś jak obraz: trzeba stanąć zdaleka
I uśmiechem nie dotknąć twej twarzy —
Zbliża... plamy obłoczne,
Linje sztywne i mroczne...

Trzeba... zdala o tobie marzyć.

M I Ł O Ś Ć

Objawia się
W niespokojnem, nerwowem czuwaniu.

Objawia się
W podchodzącem do gardła, zmieszaniu.

W drzeniach, wydartych z serca
Trwożliwie ukrytych.

W przelykanych, jak słodycz, słowach smakowitych,
Co kłamią o przyjaźni, czerwienią się, płoszą,
A wtapiają się w ciało
Słodką
Niby ślaz rozkoszą.

C Z T E R O W I E R S Z

Nie umiem pisać o miłości,
Słowa są twarde, niedogodne:
Jak serce, w drzewie wyrzeźbione,
Żywemu sercu — niepodobne.

C Z A R Y

Zmienisz swe ręce w dziesięć strun grających,
Dziecięce lkanie — w łagodny śpiew.
Na mlecznej nitce będziesz ścigał gwiazdy
Do mieszkań ptaków, w szelesty drzew.

Wywołasz źródło z najsuchszego piasku,
Ręką odgonisz chmury i mrok,
Nie będziesz deptać niczyich śladów,
Przestaniesz ważyć i czyn i krok.

A gdy odejdę, gdzie poniosą oczy,
Nie będziesz czepiać się moich nóg,
Będziesz miłował, to co ja miłuję:
Czar niecierpliwy dalekich dróg!

JAPONJA HOKUSAIA

Myślę, że jesteś wielkim samotnikiem,
Serce masz twarde, dumne i zamknięte,
Znam twoje myśli, niedzielone z nikim,
Troskami memi, jak ramą, objęte.

Rozumiem twe spojrzenia niecierpliwe, skryte,
Wiem, kiedy się przyczaja w nich na dnie ironja.
A czasem — powątpiewam: może jesteś mytem,
Wymyśloną legendą? Tak, jak ta Japonja.

LEŚNE GRZECHY

Wszystkie słowa mówione bezładnie
Prędko... prędko... prędko
Bez tchu
To czerwiejsze, to znowu bledsze
Kolorami tłukły powietrze,
Wszystkie słowa mówione bezładnie
Grzęzły w szepcie
Niby we mchu.

Czarne oczy były bardzo blisko
Śpiewne... śpiewne... śpiewniejsze
Niż śpiew.
Co gorętsza krwi kropla — nie moja!
Usta twoje, niby miód ze słoja
Wiszę nisko, na gałęzi, nisko!
Usta — wiśnie dostałe
Wśród drzew.

E O S

Nie pragnąłeś niczego więcej:
Poczułam na sobie twój wzrok
Zbliżyłam się jeszcze o krok
I podałam ci obie ręce.

Staliśmy tak drżąc oboje
Bóg jeden wie, jak długo,
Nad morzem weszło słońce
I oblało nas złotą smugą.

Zamyśliłam się nad słowami:
Eos ma palce różowe,
I patrzyłam, mrugając rzęsami.
Na niebo całe różowe!

P Y T A N I E

Czy możemy
Być sobie dalecy?

Ogarniemy
I ty i ja jednocześnie
Doliny i wzgórza leśne,
Pola, porznięte plugami.

Nad nami
Kopuła nieba wolnego
...Jak rzeka.

Czy możemy być sobie dalecy?
Niebo wolne na wolnych czeka.

S Z A R Y · P O R A N E K

Zimną wodą o szyby uderzył,
O szyby i o moje wzruszenie.
Zrobił swoje: już serce nie wierzy,
Już ostatnie odebrał złudzenie!
Że przez noc świat nanowo stworzono,
Szarfę długą... różową... złożoną...
Dla radości uszytą... przejasną...
Zrobił swoje, przeciągnął się, zasnął.

C H W A S T Y

„Kto kocha widzieć chce choć cień postaci“.

C. Norwid.

Szurpaty chaber łąkowy
Wyrasta w skal rozpadlinach,
A wielki oset liljowy
Kołysze się na ruinach.

Tęsknota błądzi dokoła
Zawodzi, wzdycha głęboko:
Dziwaczny chaber łąkowy
Wysoko — wyrósł — wysoko!

W lśniące rozsypał się gwiazdy,
Okrągłe zdziwione oczy, —
Odeszła Tęsknota polami,
Znów wraca, cieniem się mroczy —

Sfrunęły gwiazdy w jezioro,
Już leżą różowe na dnie,
A ja nad wodą z Tęsknotą
W głąb patrzę — i ręce łamię...

Przypłyn na łodzi rybackiej
Z sercem i dobrem i prostem,
Tu nam przecięły się drogi,
Tutaj, gdzie chabry i osty!

Przypłyn na łodzi rybackiej,
Na szare popatrz równiny,
I niech ci gwiazdy w jeziorze
Starczą za obraz jedyny!

P A S A Ź

Coraz się staje boleśniej i ciemniej
Od tego życia, co uchodzi ze mnie,

Od słów upartych, twardych niby kamień,
Od niespełnionych, fałszywych omamień,

Od spojrzeń, które już się nie spotkają:
Łodzie — co w czarnej nocy się mijają.

I L U Z J A

Stojące wody... nagie ruiny
Wiatr stroi w bluszcze zielone
W skały zczerniałe... w złomy spróchniałe
Sypie makówki czerwone.

Lśniące makówki... chabry wędrownie
Do ścian przytulił pod płotem,
Kamień — przez tysiąc nóg potracany
W puch trawy wcisnął zpowrotem!

A ty nie umiesz jednego serca
Prześwietlić wspomnieniem blasku?
Jednego serca, któreś niedawno
Zasypał ławicą piasku...

A ty nie umiesz jednego serca
Świeżem obrzucić pąkowiec?
Zbudzić nanowo i rozkołysać
I czekać, co ci odpowie.

VLASTIMIL HOFFMAN

Nieraz — o nieraz — w ciemności
Bolalo ciało do kości —
Od słów złych cała pogięta
Już się nie mogłam wyprężyć.

Raz jeden zajrzał księżyc
I promieniami dokoła
Oświecił Skrzydła Anioła.
Światelka wieszał, rozwieszał
Jak mógł doradzał, pocieszał...

Stałam z sercem bolącym
— — — — — Pod tych skrzydeł
Protestem milczącym.

U C I E C Z K A

„Nie polecą ptaki te na wyraje,
które ziemię odnalazły bezpieczną“.

I. K. Illakowicz.

Jesteś mi siłą niszczącą
Mnożysz ciemności dokoła,
Rąk uczepiłam się twoich,
Jak Jakób skrzydeł Anioła.

A dzisiaj w strzępy rozwichrzę
Pamięć niedobrej miłości,
Cień żalu, tchnienie najcichsze
Wypalę w sobie do kości!

I czekać będę dni prostych,
Nanowo dla mnie wschodzących,
Daleko za widnokregiem
Twych spojrzeń niepokojących!

K O N I E C M I Ł O Ś C I

Wiotkie, śliczne
Różowe cienie oddaliły się — tego ranka —
Odemnie.
Pływały wolno, niby bogowie
Co poraz pierwszy zstąpili
Na ziemię.

Uczułam słodycz oddania w pełni
I lzę pod zwięzonymi oczami,
A potem pustkę,
Której nic już
Nie wypełni —

Pustkę, co legła
Nawznak
Między nami.

SPIS RZECZY.

Andante	7
Rozbitki	8
Komunikat z Oslo	9
Starcy	10
W gorączce	11
Człowiek, który zabił	12
Podróż ulubiona	14
Matka Joanny i miłość	15
Pokój zabitym w górach	17
Czuwanie	18
W odnajętym pokoju	20
Siostra Juanita	22
Per l'amore di Dio	24
Niebieski dzień w Zakopanem	25
Lord Byron i jego Bobby	26
Prośba	28
Aurelja	30
Chińska akwarela	32
Minjatura mojej matki	34
List obłąkanej do Boga	36
Modliłem się	38
Sen	41
**	43
Chore dziecko	44
Pejzaż	45
Aleja róż jesienią	46
A latem	47
Nieudany zachód słońca	48

Ty jesteś jak obraz	50
Miłość	51
Czterowiersz	52
Czary	53
Japonja Hokusai'a	54
Leśne grzechy	55
Eos	56
Pytanie	57
Szary poranek	58
Chwasty	59
Pasaż	61
Iluzja	62
Vlastimil Hoffman	63
Uciezka	64
Koniec miłości	65



INSTYTUT
BADAŃ IICERAN TY PAN
 Biblioteka
 ul. Nowy Świat 72
 00-000 W
Tel. 26-68-63, 26-68-31 w. 42

Wydawnictwa księgarni F. Hoesicka w Warszawie

BIBLIOTEKA POETYCZNA

za.

Alberti Kazimiera. Bunt lawin	2.—
— Mój film	3.—
Bogusławski Antoni. Honor i ojczyzna	4.—
Braun Mieczysław. Rzemiosła	3.—
Choromański Leon. Urna	6.—
Denhoff-Czarnecki Wacław. Włóczęga	4.—
Géraldy Paul. Ty i ja. Przełożyła Róża Czekkańska-Heymanowa	3.—
Grossek-Korycka Marja. Pamiętnik liryczny. 1928 r.	
Hulewicz Witold. Sonety instrumentalne. 1928 r.	
Iłłakowicz I. K. Obrazy imion wróżebne	4.—
— Opowieść o moskiewskim męczeństwie. Złoty wianek	5.—
— Płaczący ptak	7.—
Kasterska Marja. ⁹ / ₁₀ przeciw ¹ / ₁₀	1:50
Kołodziecki Roman. Wschody i zachody	4.—
Lopalewski Tadeusz. Piękna podróż. 1928 r.	5.—
Miłaszewska Wanda. Rok Boży	2.—
Napierski Stefan. Odjazd.	3.—
Pawlikowska Marja. Pocałunki	2.—
— Wachlarz	5.—
— Dancing. Karnet balowy	3.—
— Cisza leśna. 1958 r.	
Rościszewska Zofja. Wstęgi. 1928 r.	
Słonimski Antoni. Z dalekiej podróży	4.—
Stern Anatol. Bieg do biegun	4.—
Szpyrkówna M. H. Poezje	4.—
Tuwim Irena. Listy	2.—
Tuwim Juljan. Słowa we krwi	4.—
Wittlin Józef. Hymny. Wyd. II.	4.—
Zegadłowicz Emil. Dom jałowcowy	11.—

F

2824